



# Pieniądze nieźle

z Ryszardem Rynkowskim  
rozmawia Marek Zaradniak

marozrabiały



**Mercuriusz** W branży artystycznej jest Pan już od wielu lat. Czy dziś śpiewanie to dobry biznes w porównaniu z tym, co było kiedyś?

Jestem w tym zawodzie i jakoś trwam, więc nie jest źle. Pytanie jest o tyle zasadne, że właśnie mija 30 lat od premiery grupy VOX i 20 lat od momentu, gdy zdecydowałem się na bycie solistą. Oczywiście byłyby czasy gorsze i lepsze. Kiedyś dawałem 150, 180 koncertów rocznie. Teraz około 100, ale to nie oznacza, że jest źle. Myślę, że jeśli zajmuje się pozycję w miarę stabilną i od lat jest się w uszach i duszach Polaków, to można być w miarę spokojnym. Polskie społeczeństwo, szczególnie to pokolenie, które w mną sympatyzuje, jest bardzo wytrwale i przywiązane do swoich ulubieńców. U nas „schodzenie” jest dosyć łagodne.

**Mercuriusz** Ale czy za te 100 koncertów dostaje Pan tyle, ile kiedyś za 180, czy więcej? Czy w polskim kapitalizmie artystom żyje się lepiej niż dawniej?

Pieniądże są mniej więcej takie same. Nie mam manka w kasie, choć jest ona trochę szczuplejsza, ale w zamian jestem o 80 dni więcej w domu. I to jest coś, co nie ma ceny.

**Mercuriusz** Wspomniał Pan o swojej publiczności, o pokoleniu ludzi dojrzałych. Czy młodzi na Pana koncerty nie przychodzą?

Przychodzą. I to mnie bardzo cieszy. Koncerty w lecie są zdominowane przez duże trasy organizowane przez stacje radiowe. Są też, przynajmniej do tej pory były, nie wiem, jak to będzie w tym kryzysie, dni miast, dni gmin i w związku z tym wiele jest koncertów, które nie są biletowane, ale są sponsorowane przez miasta, rozgłośnię czy firmy. Wtedy ma się do czynienia z wielotysięczną publicznością, trochę przypadkową, która przychodzi na festyn z balonikami i piwem. Tak naprawdę nie wiadomo, na którego z artystów ci ludzie przyszli, bo artystów jest zawsze kilkoro. Natomiast ja z wielką radością i dumą mogę powiedzieć, że grywam w zasadzie koncerty biletowane, na które przychodzą ludzie w przedziale od 20 do 60 lat. Wydaje mi się, że to nie tyle sprawa mojego uroku, ale chyba i pewnej wrażliwości. Ludziom potrzebne są piosenki z tekstem. Różne piosenki. Myślę, że o niektórych gatunkach muzyki jest głośniejsz niż jakichś powodów, natomiast inne pozostają jakby w ciszy, ale one są. Odbijają się na przykład koncerty piosenki potęckiej. Mają swoją publiczność, choć nie są tak nagłaśniane jak inne.

**Mercuriusz** Kiedyś polski artysta, aby mógł zarobić więcej, wyjeżdżał na tak zwane saksy. Śpiewał w klubach polonijnych. Czy to się nadal opłaca, czy lepiej zarabia się w kraju?

Teraz, kiedy złotówka znowu spadła, to może się i opłaca, ale to jest też kwestia czasu i pewnej perspektywy. Kiedyś, kiedy dolar stał bardzo wysoko i na Zachodzie można było wszystko kupić, a w Polsce nic, każdy wyjazd, nawet za 1000 dolarów, sprawiał wielką radość i był takim darem losu. Natomiast dzisiaj przy tych honorariach, mocy pieniądza i cenach, jakie mamy w kraju 1000 dolarów nie jest żadną zawrotną sumą. W związku z tym zmieniły się też i stawki. Nie wszystkich polonijnych organizatorów na to stać. Dlatego, jeśli ktoś ma możliwość wyboru, jeździ rzadziej, ale za większe pieniądze, i dba o to, aby koncerty miały ciekawą oprawę i odbywały się w godnym miejscu. Myślę, że kończą się już wyjazdy do klubów i granie do kotleta albo na polonijnych festynach, podczas których większość naszych rodaków jest już przed północą podchmielona, z artystami są „na ty” i ich trącają jak koleśki. Mnie te rzeczy nie pasują. Byłem kilka razy w Stanach Zjednoczonych. Grałem w Copernicus Center, na Broadway’u, byłem również z Heleną Vondrackową i Karelem Górnem na polsko-czeskiej gali w Carnegie Hall. Te wyjazdy miały swoją cenę i wartość. Natomiast pieniądze nieźle narozrabiały. Powiem tylko, że przy okazji płyty „Zachwyt”, która się właśnie ukazała, Rafał Paczkowski, który ma pewne zobowiązania wobec Jana A. P. Kaczmarka, w trakcie realizacji tej płyty wyjechał do Los Angeles. Przy okazji wziął nasz materiał, aby tam dograć smyczki i instrumenty dęte. Dolar był wtedy po 2 złote, a sesja muzyka amerykańskiego kosztowała 300 dolarów za dzień, czyli 600 zł. W Polsce żaden muzyk za takie pieniądze by nie zagrał. To jest to, co nam czasami ekonomia wycyznia.

**Mercuriusz** 30 lat na scenie, 20 lat jako solista. Który z momentów był dla Pana przełomowy? Może było ich kilka?

Przede wszystkim dla mnie przełomem psychicznym było to, że jednak dałem się namówić i nie stanąłem sam na scenie, bo to wcale nie było takie oczywiste. Kiedy rozstałem się z kolegami, nie bardzo wiedziałem, co mam ze sobą zrobić, bo inaczej jest, gdy się mówi, że się odejdziesz, i inaczej, gdy się to robi. Wtedy bardzo pomogli mi Zbigniew Górny, Aleksander Maliszewski i Kabaret Elita. Dzięki Zbigniewowi Górnemu zrealizowałem jeszcze w 1988 roku pierwszą solową sesję nagraniową. Nagrałem wtedy piosenkę Andrzeja Ellmanna do tekstu Jacka Cygana „Inny nie będę” i dwie moje piosenki do słów Marka Skolarskiego. W 1989 roku zdecydowałem się wystartować na festiwalu w Opolu. To też było wielkie przeżycie. Rok wcześniej wystąpiłem w koncercie poświęconym pamięci Jonasa Kofty. Śpiewałem piosenkę „To Ziemia” – wspaniały utwór wylansowany przed laty

przez wielkiego Stana Borysa. Nie ukrywam, że przed wejściem na scenę byłem w stanie niemal przedzawałowym. Miałem po prostu pietra. Z grupą było łatwiej. Widziałem spojrzenia ludzkie. Patrzone, z której strony wyjdzie pozostała trójka. Ludzie na początku nie mogli sobie wyobrazić, że to jestem tylko ja sam.

**Mercuriusz** Jak Pan odreałował?

Do przodu. Ale jak mówię, palce mi drętwiały i strach miałem ogromny, lecz kiedyś trzeba było to zrobić. Nie można sobie pozwolić na dezercję. Dzisiaj jest inaczej. Ludzie dali mi dużo spokoju i dużo wiary przez to, że przychodzą na koncerty, a wszystkie moje płyty są platynowe albo nawet wielokrotnie platynowe. To jest ten spokój, który uzyskałem.

**Mercuriusz** Nowa płyta nosi tytuł Zachwyt. Co Pana zachwyca?

W tej piosence chodzi o to, aby wszystko zachwycało i abyśmy wyzwali z siebie chęć do zachwytu, aby nie być zamkniętym. Natomiast ta płyta odpowiada mojej osobistej sytuacji życiowej. Zachwyt to ten okres, gdy ze zdesperowanego wdowca zamieniłem się w narzeczonego, a później męża pewnej kobiety. I to było coś takiego, że pozwoliłem sobie otworzyć się na miłość, zacząłem o nią walczyć. To jeden mały obrazek spośród 11 obrazków mojego życia od roku 2003, gdy wyszła moja poprzednia płyta.

**Mercuriusz** Ale na tym krążku jest 10 utworów nowych i jeden starszy.

To piosenka sprzed dwóch lat *Za to co masz nie kupisz nieba*, ale nad tą płytą pracowaliśmy z Rafałem Paczkowskim dwa i pół roku. Nie oznacza to, że nam ciężko szło, ale wynikało z tego, że Rafał miał inne zobowiązania, które musiał wypełnić. Robiliśmy dość długie przerwy, stąd na płycie są rzeczy, które były aktualizowane, a dotyczyły mojego życia. Niektóre z tekstów powstawały trzy lata temu. Niektóre rok temu.

**Mercuriusz** A Pańskie plany na ten rok?

Będziemy pracować, aby płyta *Zachwyt* dotarła do jak największej liczby moich fanów. Tym razem nie mówię już o złocie czy platynie, bo gdy pomyślę o ilości krążków, jakie teraz trzeba w Polsce sprzedać, by je osiągnąć, ogarnia mnie sztycher czy śmiech. Nagrana jeszcze z zespołem Vox płyta *Monte Carlo Is Great* rozeszła się w nakładzie 456 tys. egzemplarzy. Po kilku latach pobił nas tylko Perfect, ale nasze płyty były sprzedawane także w Czechosłowacji i w dawnym Związku Radzieckim. ■